

LEGENDA O ŻELAZNYM RYCERZU

czyli

OPOWIEŚĆ O TYM, SKĄD SIĘ WZIĘŁA OSADA,
CO JĄ NAZWANO ŻELAZNYM MOSZCZEM
I JAK ŻELAZNYM MOSTEM SIĘ STAŁA

MOST – rodzaj przeprawy w postaci budowli inżynierskiej, której konstrukcja pozwala na pokonanie przeszkody wodnej lub lądowej.

MOSZCZ – świeżo wyciśnięty sok owocowy lub warzywny wykorzystywany w procesie wyrobu napoju docelowego: soku, napoju, wina itp.

MOSZCZ (z niem. MOST, od łac. MUSTUM)

źródło: Wikipedia

Na wiele lat przed tym, gdy wydarzyła się późniejsza, znamiona w skutkach historia, młody chłopak imieniem Jakob, opuścił rodzinny dom i wyruszył w poszukiwaniu swojego miejsca na Ziemi. Czasy to były bardzo burzliwe i nie do końca wiadomo, co nim tak naprawdę powodowało. Czy była to może ta wielka ciekawość świata, którą miewają młodzi, czy też powody były całkiem inne. Tego pewnie już się nie dowiemy. Zresztą Jakob sam niechętnie o tym gadał. Dość, że przemierzał teraz piaszczystą, a miejscami kamienistą drogę, siedząc na swej małej furce ciągniętej przez – dzięki Bogu – niezbyt upartego osła. Do ciągnięcia nie było zresztą zbyt wiele: prócz Jakoba, leżały na niej jeszcze koce, trochę ciepłych okryć, kilka rolniczych narzędzi, kosz z dwiema kolorowymi kurkami i parę bochenków chleba, zapakowanych w płócienne worki.

Pochodził on podobno gdzieś z Alzacji, czy też – jak twierdzą inni - z Frankonii. Nie jest to jednak w sumie najważniejsze, ale jedno jest pewne, że prócz skromnego dobytku, w który był zaopatrzony, miał też z sobą wielką miłość do ziemi, wiedzę jak się zabrać za sianie i żniwa, a i znał się całkiem dobrze na robieniu wina. Bo tam skąd pochodził, znali się na tym wszyscy.

Kiedy dotarł do szerokiego traktu - oznaczonego dziwną muszlą - wiodącego ze wschodu na zachód, to zatrzymał furkę i zaczął się zastanawiać, w którą by tu stronę jechać. Trakt ten – czego Jakob nie wiedział - był częścią istniejącej do dzisiaj Camino de Santiago, więc nie trudno było na nim spotkać kupców czy pątników, zwanych wtedy, gwoli ścisłości, *peregrino*. A gdy już się od tych zacnych ludzi dowiedział, że idąc na zachód dotrze do grobu swojego imiennika, świętego Jakuba, to pomyślał, że skoro już jeden Jakub czymś zasłynął w tamtych stronach, to może to wystarczy. I ruszył na wschód.

Gdy po wielu dniach podróży dotarł na tereny Śląska, jakoś mu się różniej na duszy zrobiło i przyszło mu do głowy, czy to czasem nie jest właśnie to, czego szuka. Podobała mu się ta różnorodność krajobrazu, bo mu się dziwnie kojarzyła z jego rodzinnymi stronami. A i ludzie tam mieszkający byli przyjaźni i gościnni, więc uznał, że to dobra wróżba. Zatrzymał się w niewielkiej wiosce, w okolicach osady Polkovic. Tam zaś najął się za pomocnika u jednego z miejscowych chłopów – Marcina - i dał się poznać zarówno jako dobry rolnik, jak i człowiek. Był bardzo pracowity, więc z czasem, nieopodal tej wioski, a bliżej handlowego traktu, postawił swoją chałupę - wcale nie małą - a jakiś rok później, ożenił się z Agnes, córką owego Marcina, który od początku traktował go prawie jak syna i z radością pobłogosławił ich związek.

Dobrze im się żyło, bo kochali to, co robili, a i siebie nawzajem. Ogromnie się też ucieszyli, gdy na świat przyszła ich pierwsza i jedyna córka, którą nazwali Zora.

Zora rosła, jak to mają w zwyczaju dzieci i ani się obejrzeni, gdy stała się nastoletnią dziewczynką. Zora po mamie odziedziczyła tę szczególną mądrość śląskich kobiet, po ojcu zaś optymizm i ciekawość życia. I chociaż nie przymuszano jej wcale do żmudnej pracy w polu, to bardzo ją to wszystko interesowało i szybko wiedziała, co i jak się w przyrodzie i na polu dzieje. Miała też ten wyjątkowy dar, że wchodząc do lasu, czy na okoliczne polany, zawsze wracała z jakimiś dobrami

natury. Dzięki jej wyprawom w domu nigdy nie brakowało leśnych grzybów, dojrzałych, jesiennych owoców, jaj dzikiego ptactwa czy pachnących ziół i przypraw.

Największą radość jednak sprawiła kiedyś ojcu, przynosząc kosz pełen dojrzałych, ciemnofioletowych - jak winogrona, za którymi czasem tęsknił – dzikich śliwek. Próbując tych niezwykle słodkich, choć małych i pokurczonych owoców, Jakob od razu pomyślał, że spróbuje z nich zrobić wino. Zabrał się do wyciskania moszczu, nawet się trochę przy tym rozmarzył i zadumał. Chociaż nie miał swojej winnicy, to czuł jakby się w rodzinne strony przeniósł, wchodził na jaką małą kładeczkę, która wiodła go prościutko do wielkiej, starej stodoły, w której jego dziadek siedział pochylony nad kadzią i mieszał gęstą, zawiesistą ciecz, mamrocząc do niej swoje winne zaklęcia. Tak i on teraz robił to samo.

Zora odkryła miejsce, w którym dzikie śliwy miały swoje małe królestwo i znosiła tych śliweczek Jakobowi takie ilości, że naprawdę dobrze zaopatrzył piwniczkę.

A gdy pierwsze wino już było gotowe i dobrze wyleżakowane, to Jakob był z niego zadowolony, bo miało głęboki, rubinowy odcień, pachniało delikatnie czekoladą, słońcem i ziemią. Można było na tym winie nawet zarobić trochę grosza, bo dzięki temu, że ich chata stała nieopodal uczęszczanego traktu, to zdarzało się im nieraz przenocować jakiego strudzonego wędrowca, a zazwyczaj także sprzedać mu beczułkę zacnego trunku.

Przyszła kolejna jesień, więc Zora z większą częstotliwością niż w innych porach roku, ruszała na swoje leśne wyprawy. Zawsze wychodziła jeszcze przed świtem i wracała przed zachodem słońca. Dni były w sumie dość długie, więc mogła naprawdę daleko się zapuszczać w tych wycieczkach. Jednak któregoś dnia, słońce zaszło już za gęstą ścianę lasu za domem, a Zora nie wracała. Jakob z Agnes siedzieli przy stole, jak to mieli w zwyczaju, czekając na nią z kolacją, ale córki nie było. Ogromnie się zmartwili, bo choć wiedzieli, że zna ona każdy kamyk i każdą ścieżynę w tym lesie, to jednak czuli, że coś się musiało wydarzyć. Zrobiło się naprawdę późno i już mieli ruszyć na jej poszukiwania, gdy nagle drzwi chaty skrzypnęły z impetem i stanęła w nich Zora. Cała, zdrowa i uśmiechnięta od ucha do ucha. I wydawało się, że biło od niej jakieś dziwne, niebieskawe światło. Jakob aż przecierał oczy, bo nie widział czy nie ma jakich zwidów z nerwów i ze zmęczenia. Cieszyli się jednak ogromnie, że nic złego jej nie spotkało, a Zora usiadła przy stole i zaczęła swoją opowieść:

- Gdy już słońce zaczęło opadać mocnym łukiem w kierunku zachodu i miałam szybko wracać do domu, ujrzałam, że coś się skrzy w kniejach. Zaczęłam więc iść w stronę tego zjawiska. Widziałam, że to nie ogień, bo w lesie był ogromny spokój i cisza. A to coś mrugało do mnie, miało jakąś magnetyczną moc w sobie i nie mogłam się temu oprzeć. Zawsze też mi mówiliście, że wszystko co dobre jest ze światła. Dlatego się nie bałam. A gdy już doszłam do niewielkiej polany, zobaczyłam na niej niedużą, ale dorodnie obrodzoną w fioletowe owoce śliwę. To one dawały to światło. Lśniły, jakby każda była przyodziana w jaką zbroję. Gdy spróbowałam jednej z nich, to nie miałam

wątpliwości, że owoce z tego drzewka są najpyszniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek jadłam. Ale najdziwniejsze było to, co znalazłam w środku. Bo nie była to pestka...

I wyciągnęła z kieszeni zawiniątko, w którym była mała grudka metalu, delikatna i połyskująca przy świetle świecy. A gdy Jakob mocniej ją ścisnął, grudka rozkruszyła się na drobniutki, srebrnawy pył. Wtedy Zora postawiła na stole koszyk, który był pełny śliweczek. To z niego była ta niebieskawa luna. Gdy wysypała zawartość na stół, w całej izbie zrobiło się jasno, jakby w dzień. Siedzieli zdumieni i patrzyli na to niecodzienne znalezisko, myśląc co też może im to przynieść. Może sławę i majątek, a może frasunek lub kłopot. Było już jednak bardzo późno, więc postanowili, że pójdą spać i nazajutrz uradzą, co z tym zrobią.

Ale Jakob całą noc nie mógł zasnąć. Leżał i myślał, a poświata przezierająca spod bawełnianej chusty, którą przykryli metaliczne śliwki, nie dawała mu spokoju. Gdy pierwsze promienie słońca dostały się przez okno do ich chałupy, obudził Agnes i zapytał jej:

- A ty co o tym myślisz, moja mądra i rozsądna żono. Co powinienem z tym zrobić? Zawieźć do miasta i sprzedać na targu? Zakopać w lesie w wielkim dole? Zjeść? Spalić? Może być z tego kawał grosza albo kawał zgryzoty. Sam już nie wiem co robić...

Agnes zaś popatrzyła na niego i powiedziała tylko:

- Jakobie, to bardzo proste. Zrób z nich wino. - Bo wiedziała, że najprostsze rozwiązania zazwyczaj są najlepsze. Po czym zamknęła oczy i błogo się uśmiechnęła - ni to do Jakoba, ni to do swoich myśli - Tak. Właśnie tak będzie! - pomyślała, a potem ukryła głowę pod ciepłą pierzyną i zasnęła.

Jakob od razu zabrał się za robotę. Najpierw sporządził ze śliwek moszcz, gdyż tak zawsze trzeba zacząć. A zrobił go i z tych śliwek, i z małych grudek, które w sobie miały zamiast pestek, przez co moszcz był naprawdę wyjątkowy, bo wyglądał jakby kto w nim metal rozpuścił. Połyskiwał szkarłatno-brązowymi refleksami i był gęsty jak krew.

- To bardzo dobry moszcz – powiedział Jakob na tyle głośno, by było go dobrze słychać, bo tak samo robili jego dziadek i ojciec nawet wtedy, gdy nie wiedzieli czy moszcz rzeczywiście jest aż tak dobry. Po prostu lepiej jest chwalić niż ganić. - Niech sam Bachus wie, że rodzi się coś dobrego na jego poletku. Niech pilnuje i dogląda swym okiem, by się co nie popsulo – dodał jeszcze Jakob pod nosem, bo pomyślał, że przecie bóg wina nie może być zadowolony, gdy się zmarnuje to, co ma być potem winem. A dobry moszcz jest, jak wiadomo, fundamentem dobrego trunku.

A kiedy z moszczu powstało w końcu wino, Jakob wiedział, że trzeba mu już naprawdę niewiele: czasu i spokoju. Przygotował nawet tajemny schowek, aby nikogo nie kusilo. W obórce dla zwierząt stało ogromne koryto. Za nim wykopał spory dołek, wsadził weń beczułkę wina, nakrył je słomą i przeciągnął koryto tak, by nikt się nie domyślił, że coś tam pod nim ukrył; by bezpiecznie nabierało mocy i szlachetności.

Minął rok. Liście na drzewach znowu zaczynały tracić swą zieloną barwę, a wędrowcy od czasu do czasu zaglądali do ich chaty przy drodze, szukając noclegu lub ciepłej stawy.

Na kilka dni przed planowaną przez Zorę wyprawą po drugie zbiory z żelaznej śliwy, do ich drzwi niespodziewanie zapukał niemłody już rycerz. Jego twarz rzeźbiły głębokie bruzdy zmarszczek i starych blizn, świadczących, iż nie raz przyszło stoczyć mu zacięty pojedynek. Zdziwili się, bo w tych stronach spotkać prawdziwego rycerza nie było czymś zwyczajnym. A gościć kogoś takiego jeszcze się im nie przytrafiło.

- Dobrzy ludzie, przenocujecie mnie proszę, bo jestem bardzo strudzony - powiedział ów rycerz. Przyjechał on na dość lichej szkapinie i choć jego ogromny miecz faktycznie budził respekt, to postać zgarbionego człeka, niemającego nawet porządnej zbroi, już nie koniecznie. Żał się jakoś Jakobowi zrobiło tego podstarzałego człowieka, bo nie wyglądał, jakby miał jeszcze kiedy zaznać zaszczytów i chwały w boju.

- Bądź naszym gościem – powiedział Jakob i zapytał - Jak Cię zwą Panie?

- Jam jest Iro. Rycerz z Mołdawii. Przemierzam świat w poszukiwaniu sławy, bogactwa i swojego miejsca. Rok temu ruszyłem do grobu świętego Jakuba, by poprosić go o męstwo i siłę, których ostatnio już mi brakuje.

Zaprosił więc rycerza do swojej chaty. Jakob z rycerzem Iro dość łatwo znaleźli wspólny język, bo każdy z nich przebył wiele dróg i wiele zobaczył. Dobrze się im rozprawiało i o świecie, i o tych mniej przyziemnych sprawach. Jakob nie żałował też gościowi stawy i swojego „zwykłego”, ale wspaniałego śliwkowego wina.

Gdy już dobrze posiedzieli i języki się im porządnie rozwiązały, rycerz Iro zaczął się żalić na swój los, bo trudno było mu już dorównać młodym i dziarskim rycerzom podczas pojedynków. Jakob za to próbował go pocieszać, że każdy może trafić na coś niezwykłego w życiu. Ot, choćby jego córce Zorze, przydarzyło się rok temu coś niesamowitego. Znalazła drzewko dające wspaniałe, metaliczne śliwki, a on z tych śliwek przyrządził wino, którego jeszcze nikt nie pił, ale które na pewno ma jakąś cudowną moc i pewnie da mu to i sławę, i pieniądze.

- Przyjacielu! – powiedział mocno zaniepokojony rycerz Iro - Uważaj na nie, by Ci go kto nie ukradł! Musisz go dobrze strzec.
- Oj nie martw się Panie. Dobrze je ukryłem. - powiedział uśmiechnięty Jakob.
- Byleś nie trzymał go w piwniczce, z innymi beczułkami, bo jak Ci ją kto – nie daj Bóg - obrabuje, to nawet nie pozna, jaką szkodę Ci uczynił, a Ty zostaniesz bez swego skarbu – zaczął sprytnie drażnić temat rycerz – Ja to, co dla mnie najcenniejsze, mam dobrze ukryte, o tutaj.

I wyciągnął spod płaszcza, w którym miał wszytą ukrytą kieszeń, niewielką sakiewkę. Położył ją na stole, ale wcale nie zabręczała, więc Jakob dobrą chwilę zastanawiał się, co też tak drogiego ma w niej rycerz. Nie ośmielił się o to zapytać, ale rozochocił się tym spoufaleniem i zaufaniem rycerza:

- Nie jestem aż tak głupi, by trzymać mój skarb tam, gdzie wszyscy by się go spodziewali – powiedział wielce dumny z siebie, a potem... bardzo dokładnie opisał przybyszowi, gdzie ukrył wino.
- Naprawdę, roztropny z ciebie człek, Jakobie – powiedział rycerz Iro, po czym stwierdził – No cóż, czas mi na spoczynek, o świcie chcę ruszyć dalej w drogę.
- Nie martw się Panie, obudzę Cię, gdy tylko pierwszy kur zapieje – powiedział Jakob i wszyscy poszli spać.

Gdy pierwszy kur zapał Jakob był od razu na nogach. Wstał i poszedł się umyć do studni. Coś go jednak zaniepokoiło. Na podwórzu nie było chudej szkapiny rycerza Iro.

- Pewnie koń się zerwał i poszedł szukać wodopoju – pomyślał, zmywając resztki snu z powiek lodowatą wodą. Już miał wrócić do drzwi chałupy, gdy zauważył, że jego dwa młode warchlaki radośnie ryją w ziemniakach. Spojrzał w stronę obórki, która – sprawdzał to dwa razy – wieczorem była na pewno zamknięta. Teraz zaś jej drzwi były otwarte na oścież. Z duszą na ramieniu wszedł do środka i odkrył, że jego obawy były słuszne. Tak dokładnie opisał miejsce, w którym ukrył „boski trunek”, że Iro w zasadzie mógł tam wejść po ciemku, bez trudu odszukać koryto, pchnąć je i wymacać w dole drewniany, obły kształt dębowej szkatuły.

Jakob usiadł i poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Został oszukany i okradziony! Jak mógł być, aż tak naiwny i głupi?

Przy śniadaniu, wielce zmartwiony, opowiedział swojej rodzinie niegodny postępek – zdawałoby się - szlachetnego rycerza.

- Coś, co bezprawnie zostało odebrane innemu, nie może dać tej osobie szczęścia. No i nawet nie wiemy, czy to wino rzeczywiście miało jakąś specjalną moc, więc nie ma co się tym tak zamartwiać. Zapewniam Cię jednak Jakobie, że zły występki i tak w końcu zostanie ukarany – powiedziała Agnes.

Były to słowa mądre i nieco uspokoiły Jakoba, ale gdyby się dobrze przyglądał swej żonie, gdy to mówiła, to może zauważyłby, że akurat tego, iż wino będzie miało wielki i szczególny dar, Agnes była pewna.

- Oj, tatko! – zawołała Zora, bo zawsze tak mówiła, gdy chciała by się uśmiechnął - Nie frasuj się! Jutro pójdę z rana do naszego drzewka. Przyniosę śliwki i zrobisz to wino jeszcze raz, ale tym razem lepiej je schowamy.

Następnego dnia rano Zora ruszyła po zbiory, ale niestety tego roku drzewko nie miało ani jednego owocu. Tak samo zresztą było w następnym roku i zaczęli się zastanawiać, co takiego się stało... A tak naprawdę, nic się nie stało, bo z drzewami tak to już po prostu bywa. Czasem dają plon co roku, a czasem nie. A te najbardziej wyjątkowe, czerpiące moc z głębi ziemi, z jego najcenniejszych pokładów, bywają najbardziej kapryśne. Mogą potrzebować o wiele więcej czasu, bo musi się w nich wprzód nazbierać to, co potem ma dać innym siłę i moc.

Musiało minąć aż sześć długich lat i oprószyć siwizną jeszcze mocniej skroń Jakoba, a z Zory uczynić prawie dorosłą dziewczynę, by śliwa zbudziła się ze swojego letargu i wydała kolejny plon. Ale znowu miało się coś wydarzyć... Na kilka dni przed zaplanowanymi przez Zorę zbiorami do drzwi ich chałupy po raz kolejny zapukał jakiś rycerz. Tym razem jednak był to piękny młodzieniec, w najpiękniejszej zbroi, jaką można sobie było wyobrazić. Przyjechał na wspaniałym rumaku i Jakob już miał pytać, jak go zwać, gdy zauważył ogromny miecz. Miecz, który znał doskonale, gdyż był to, ni mniej ni więcej, tylko miecz rycerza Iro. Jakubowi aż ciarki przeskoczyły po plecach, bo domyślał się, że to z jego rąk zginął nieszczęśnik, który zabrał jego wino, ale zapytał, nie dając nic po sobie poznać:

- Skąd masz ten miecz Panie, bo wygląda jak miecz kogoś, kogo parę lat temu było mi dane poznać.

- To mój miecz, Jakobie. Bo ja jestem Iro.

Jakob ze zdziwienia mało nie usiadł. Zaczął się wpatrywać w twarz młodzieńca. Szukać podobieństw. No tak, te oczy. Ten nos! To musiał być Iro. Iro młodszy o jakieś pięćdziesiąt lat...

A Iro mówił dalej:

- Jakobie, przybyłem tutaj, by prosić Was o przebaczenie za mój niegodny występki. Tak. To ja wykradłem w nocy beczułkę i uciekłem. Nie miałem nawet jednego dukata, by Ci zapłacić za gościnę. Bardzo mi wstyd, że tak się zachowałem. Ruszyłem w stronę grobu Twego imiennika i każdego dnia piłem jeden kielich cudownego wina. I z każdym dniem czułem się młodszy i silniejszy. A moje ciało zaczęło pokrywać się najpierw czymś jakby metaliczną łuską, a potem wspaniałą zbroją, tak twardą, że gdy dotarłem do Santiago, byłem już innym człowiekiem. Byłem Żelaznym Rycerzem. I tak jestem właśnie znany na rycerskich dworach całej Europy.

Szybko się okazało, że nie mam sobie równego w walce. Żadne uderzenie mieczem w moją zbroję, nie było w stanie zrobić na niej nawet najmniejszego uszczerbku. Stałem się niepokonany. A dzięki temu zdobyłem niemały majątek i uznanie. Zrozumiałem jednak, że mając to wszystko, wciąż nie jestem spełniony, bo nadal nie znalazłem swojego miejsca na tym świecie. Uznałem też, że nigdy nie będzie mi to dane, póki nie wrócę tutaj, nie naprawię swej przewiny stosownym zadośćuczynieniem i nie uklękę przed tą świętą śliwą, składając jej dziękczynienie i hołd za wszystkie łaski, które spływały na mnie za pośrednictwem wina z jej owoców.

Mam teraz trzy cenne sakiewki. Tą, którą już widziałeś; drugą, nieco większą, pełną srebrnych monet; trzecia zaś, największa, jest pełniutka złota. Jako moje ogromne i szczerze przeprosiny, choć wiem, że trudno taką winę wymazać, przyjmijcie proszę sakiewkę ze srebrem. - I położył sakiewkę na stole. - Jeśli jednak zaufacie mi na tyle, że pozwolicie bym przyklęknał przy boskim drzewku, to oddam Wam również tą największą, pełną złota. Bo nie martwię się już o bogactwo, gdy siła i męstwo, którą mam, zawsze mogą mi je dać. Najbardziej zależy mi teraz na Waszym przebaczeniu i powrocie do Mołdawii, do stron rodzinnych, bo może jednak tam jest to, czego szukam. Choć oczywiście nie wiem tego na pewno, gdyż niezbadane są wyroki Pana Naszego.

Jakob, wciąż nie mogąc dojść do siebie po tym co usłyszał, spojrział na Agnes i Zorę, które też przysłuchiwały się opowieści Żelaznego Rycerza.

Agnes nie wyglądała na specjalnie zdziwioną tą opowieścią, ale powiedziała, że to do Zory będzie należała ostateczna decyzja, bo nie tylko, że ona odkryła drzewko i przyniosła owoce, to jeszcze nikt poza nią nie zna do niej drogi. No i rycerz już raz ich oszukał, więc muszą to jeszcze razem przemyśleć.

Na te słowa rycerz Iro od razu padł na kolana i powiedział, że nikomu nigdy nie zdradzi drogi do tej śliwy. Że może przyrzec na wszelkie świętości i że to dla niego naprawdę coś najważniejszego w życiu. A jeśli ich oszuka, to niech go piekielny ogień pochłonie.

Zora pomyślała, że gdyby był naprawdę złym człowiekiem, to pewnie by tu do nich już nie przyjechał. Ustalili więc wspólnie, że zabiorą go tam, ale na ich warunkach. Pójdą jutro rano w trójkę: ona, Jakob i Iro. Jednak Iro będzie całą drogę miał związane oczy, by nie mógł nigdy sam odtworzyć drogi i związane ręce, tak na wszelki wypadek. I tak po raz kolejny mu zaufali. A chociaż Agnes nie była specjalnie z tego faktu zadowolona, to nie powiedziała na to ani słowa. Bo wiedziała, że tak musi być.

Ruszyli wczesnym rankiem, a kiedy w końcu dotarli na miejsce, nawet sam Jakob był zachwycony widokiem. Bo było tam po prostu pięknie. Zobaczyli malownicze, niewielkie pagórki, pełne malutkich, uginających się pod ciężarem owoców drzewek, a na małej polance stała ona – królowa śliw, świecąca niebieskawym światłem, jak jakaś latarnia, do której zmierzali podróżnicy.

Iro zsunął się z konia, a Zora zdjęła mu z głowy opaskę i rozwiązała ręce.

- Oto twoja dobrodziejka, rycerzu. Oddaj jej pokłon i wracamy. - powiedziała do niego, wskazując mu drzewko. Stwierdzili wraz z Jakobem, że zaczekają nieopodal, pozwalając mu poobcować z tym, co dało mu tak wiele.

- To nie potrwa długo, dziękuję Wam – rzekł Iro i podszedł do drzewka. Klęknął przy nim, opierając się o swój ogromny miecz i widać było, że gorliwie się modli. A kiedy skończył wstał i powiedział:

- Teraz mogę już ruszyć szukać własnego miejsca, bo spłaciłem swój dług wobec ludzi i Boga. Musicie mi jednak wybaczyć jeszcze jedno. To drzewko sprawiło, że posiadam nadprzyrodzoną wręcz moc męstwa, siły i odwagi. Pozwoliło mi zdobyć sławę i się wzbogacić. Nie chciałbym jednak, by kiedyś na tym świecie pojawił się inny rycerz, który mógłby mnie pokonać. Dlatego muszę, muszę to zrobić. - I krzyknął głosem tak potwornym, jakby ten głos wydobył się prosto z wnętrza ziemi - Niech przeklęta będzie moja dusza!

Wyszarpnął z ziemi wbity w nią miecz, podniósł go w górę i jednym mocnym, wprawnym ruchem ściął śliwę.

Jakob i Zora oniemieli, patrząc na to, co zrobił Iro, ale i na to, co stało się chwilę później. Bo nagle, z jasnego nieba uderzył piorun. Drzewko i ziemia wokół niej rozbłysły płomieniami prawdziwego ognia. Potem zapalił się miecz rycerza i zaczął się topić. Lśniaca zbroja rozplynęła się – nie wiadomo czy w tych płomieniach, czy za sprawą innych sił, sam zaś rycerz nagle przemienił się w

zgarbionego starca. Na jego ciele zaczęły pojawiać się okropne blizny, pewnie dokładnie w tych miejscach, w których wcześniej dosięgły go ciosy tych, z którymi walczył. I naraz, jedna po drugiej, blizny zaczęły się zamieniać w otwierające się rany, z których trysnęło coś, jak krew, choć Jakob dałby głowę, że bardziej wyglądało to jak ów żelazny moszcz, który zrobił tyle lat temu.

Do ich nozdrzy dopłynął zapach palonego mięsa i płynnego metalu. Iro upadł na ziemię, targany falami konwulsji. Jego usta wykrzywiły się w dziwnym grymasie, a potem także jego pochłonał ogień. I miał rację Iro, że nie potrwa to długo, bo chwilę później wokół zgliszczy po cudownej śliwie było już tylko trochę dymu, wypalanej ziemi, popiołów po Żelaznym Rycerzu i odbijających światło metalicznych grudek.

Rumak rycerza Iro tak się wystraszył, że pocwałował na ośle przez las, oni zaś stali porażeni i przerażeni, patrząc na finał tego nieoczekiwanego przedstawienia. Stali tak bez ruchu - Jakob, trzymając w rękach sakiewkę złota, a Zora chustę, która jeszcze chwilę wcześniej zasłaniała młodą twarz rycerza. Zdumieni zobaczyli też, że na środku tego pogorzelniska leży niezłknięta nawet płomieniem ognia malutka sakiewka. Ta, którą rycerz skrywał pod płaszczem, a którą Jakob widział już na swoim stole w domu, tamtej nocy.

Jakob podniósł ją ostrożnie i otworzył, a Zora ciekawie zajrzała do środka. Nie bardzo potrafiła zrozumieć, o co w tym wszystkim może chodzić, bo w sakiewce była najzwyczajniejsza ziemia. Brązowa gruda gliniastej gleby, która nie mogła mieć przecież żadnej wartości. Ale Jakob wiedział, że miała. Dla Iro.

- Ten nieszczęśnik całe życie szukał swojego miejsca. I w końcu je znalazł. Skończyła się jego tułaczka. Niech jego dusza i ciało wreszcie zaznają spokoju.

A Zora spojrzała na Jakoba i powiedziała

- Myślę, że to może być też nasze miejsce. Nie ma już cudownej śliwy, ale my wiemy, że tu rosła. A to znaczy, że to miejsce jest wyjątkowe. I jest tu przecież całe mnóstwo innych, równie cudownych drzewek, dających wspaniałe owoce.

Gdy dym opadł, Jakob zebrał prochy rycerza i razem z sakiewką ziemi złożył je w mogile, którą usypali pod największą ze śliw. Nawet Zora wcześniej jej nie zauważyła, chociaż ta śliwa była wyjątkowo wielka i rozłożysta. Naprawdę rosła tu cały czas? Powinna ją dostrzec. Nie była jednak pewna.

Później stanęli, patrząc na krąg wypalanej ziemi, a Jakob powiedział:

- Żelazne śliweczki przyniosły nam spory majątek, Zoro. Mogę wybudować tutaj dla Ciebie wspaniały dom, a może kiedyś powstanie wokół tej chaty cała osada, bo to miejsce ma jakąś tajemniczą siłę. A ta osada powinna się zwać Żelazny Moszcz, bo jestem pewien, że to moszcz trysnął z ran Żelaznego Rycerza Iro. Moszcz, który sam zrobiłem. A skoro dobry moszcz jest fundamentem dobrego wina, to może być i fundamentem pod dobrą osadę.

Ale Zora spojrzała ojcu w oczy i powiedziała:

- Mylisz się, tatusiu. To miejsce powinno się nazywać inaczej. To tutaj rosną śliwki, z których robisz najwspanialsze wino. A robisz je dlatego, że nauczyłeś się tego od swoich przodków. Sam mówiłeś mi nie raz, że gdy je robisz, to czujesz, że coś łączy Cię to z tamtą ziemią i z tamtymi ludźmi. To miejsce powinno się nazywać Żelazny Most!

I chociaż sami nie wiedzieli, jak się sprawy potoczą, to było pewne, że to miejsce już zawsze będzie dla nich bardzo ważne. Bo wiedzieli, że oni też znaleźli swoje miejsce.

* * *

Agnes właśnie piekła chleby. Lubiła to robić, gdy miała w domu trochę spokoju. Wsadziła już do pieca dwa spore bochenki i właśnie przymierzała się do umycia dzieży. Pieczenie chleba to proces, a każdy proces to następujące po sobie czynności. I chociaż nie była to jej ulubiona czynność w tym procesie, to teraz właśnie przyszedł na to czas.

Coś jednak kazało jej odłożyć wszystko na moment i usiąść przy stole. Nie opierała się tej sile. Usiadła. Zamknęła oczy i zobaczyła dwoje ludzi, których tak bardzo kochała, stojących przy dziwnym, ciemnym, metalicznie pobłyskującym kręgu w ziemi. A potem uśmiechnęła się błogo i pomyślała tylko:

-Tak. Właśnie tak będzie!

K O N I E C